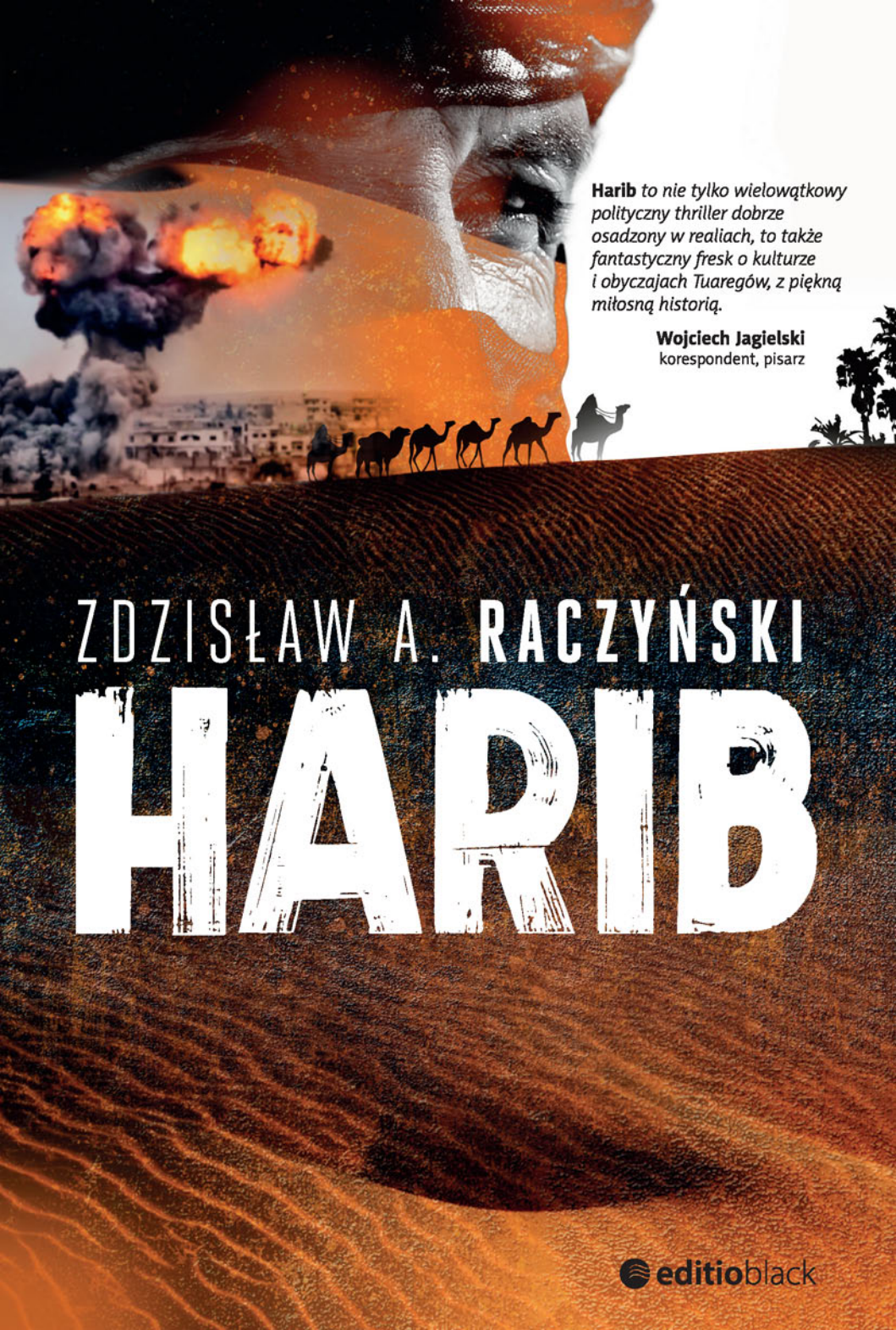




Harib to nie tylko wielowątkowy polityczny thriller dobrze osadzony w realiach, to także fantastyczny fresk o kulturze i obyczajach Tuaregów, z piękną miłosną historią.

Wojciech Jagielski
korespondent, pisarz

ZDZISŁAW A. RACZYŃSKI

HARIB

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor i Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor i Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Redakcja: Justyna Wydra

Korekta: Elżbieta Kaluga, Małgorzata Augustynowicz

Fotografia na okładce została wykorzystana za zgodą Shutterstock.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

ISBN: 978-83-283-3995-8

Copyright © Zdzisław Raczyński 2018

Copyright © HELION 2018

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Rozżarzone powietrze wypalało płuca. Na bezlitośnie czystym niebie wybuchały dziesiątki słońc. Świeciły zewsząd — i w oczy, i wprost z góry, tak że jego pochylona w półbiegu sylwetka prawie nie pozostawiała cienia. Tyle tylko, aby z ledwością przykryć szare od pyłu buty. Pył był wszędzie — na swędzących od poparzeń dłoniach, na ubraniu, na brwiach, czole, spękanych ustach haustami chwytających oddech. Syпки piach wiązał nogi jak glina. Ostatkiem sił walczył z chęcią położenia się. Wokół rozciągała się pustynia — obojętna i milcząca. Dusił się. Ale mózg zachował zdolność jasnego rozumowania. Miał mizerne szanse dotrwania do nocy. Na otwartej przestrzeni był łatwym celem. Jeśli nie zabije go słońce, znajdą i zabiją tamci. Zatrzymał się dosłownie na moment, tylko po to, aby zaczerpnąć więcej powietrza. I wtedy dosięgnął go ogień. Zabrakło mu tlenu, pochłoniętego przez spadający strumień napalmu czy fosforu...

Obudził się nagle i od razu wyskoczył z łóżka. Serce waliło w rytmie metronomu, który usiłował dorównać tempu presto, aż zwariował. Zapalił lampkę nocną — dochodziła trzecia. W dusznym pokoju nie było czym oddychać. Najwidoczniej wiatr przymknął drzwi balkonowe, które zawsze pozostawały na noc półotwarte. Wyszedł na balkon, zabierając z szafki paczkę cameli i zapalki. Jesienna noc, pełna tającej się już w powietrzu zapowiedzi zimy, szczelnie okrywała śpiące miasto. Tylko na północy, nad centrum, unosiła się zorza wielkiej metropolii. W rześkim powietrzu papieros miał smak kopącego się filcu. Znów te koszmarnie

sny, które najczęściej natchodziły go właśnie jesienią. Wyliczał w myślach przewinienia: stres, papierosy, za mało ruchu, brak zorganizowania, samotność. A może to po prostu strach. Strach przed kolejną przegraną.

Stać go było na wystarczającą uczciwość wobec siebie, aby przyznać, że jego dotychczasowe życie to różaniec porażek i utraczonych szans. Być może dlatego, że od dzieciństwa przyuczano go do posłuszeństwa i pokory i że nie potrafił stawiać wszystkiego na jedną kartę. Całym osiągnięciem czterdziestu dwu lat życia było to maleńkie, dwupokojowe mieszkanie w dzielnicy-sypialni i mocno sfatygowane renault. W dorobku miał także żonę, która zostawiła go po dwóch latach małżeństwa, oraz garść opublikowanych artykułów, żyjących jeszcze krócej niż jego miłość do Anny.

Nie tak wyobrażał sobie swoją przyszłość w wymarzonej ojczyźnie, którą znał z opowieści babci. Nie, nie żałował tamtego wyboru z 1992 roku. Co by dzisiaj robił na Białorusi, w biednym kraju rządzonym przez władcę, który przypominał postać z nieudanych komiksów o tyranie? Byłby w szeregach opozycji? Wątpliwe. Nigdy nie angażował się w sprawy nierokujące powodzenia. Inna rzecz, że i te, które przyciągały go zapowiedzią sukcesu, też kończyły się kląpą. Na pewno nie byłby piewcą reżimu. W jego rodzinnym domu bieda i uczciwość były siostrami. Może dlatego nie zrobił kariery w Polsce.

Na początku wszystko szło bardzo dobrze. Był doceniany jako młody, obiecujący analityk i komentator spraw Białorusi, Ukrainy i ogólnie Wschodu. Coś tam publikował, zapewniono mu etat w organizacji zajmującej się udzielaniem pomocy krajom poso-wieckim, zaproszono go nawet kilka razy do telewizji. Życie mi-granta, nawet takiego jak on, który powrócił do historycznej oj-czyzny, okazało się jednak niełatwe. Miękki akcent i niedoskonała polszczyzna drażniły redaktorów i sprzedawców w sklepie osie-dlowym. „Rusek” — słyszał często za plecami. Jego opinie na

temat zdarzeń za Bugiem, początkowo słuchane uważnie, nie wiedzieć właściwie kiedy straciły uznanie w oczach redaktorów gazet i prowadzących programy telewizyjne. Oczekiwali oni jedynie potwierdzenia z góry obranych tez. Im większa gazeta, tym głębsza wiara redaktorów we własną nieomyślność. Dyrektor organizacji Pomoc Demokracji Wschodu nie wybaczył mu uwag o tym, że pieniądze od sponsorów z kraju i z zagranicy powinny iść nie na urządzanie biura i nikomu niepotrzebne ekspertyzy pisane przez kolegów dyrektora, lecz na działalność opozycji w krajach posowieckich, i rozstał się z nim przy pierwszej okazji, którą zresztą sam zaaranżował. Anna też go opuściła, gdy tylko się zorientowała, że przestał być windą, która może ją wynieść do roli gwiazdy telewizyjnych debat politycznych.

Uratowali go Szwajcarzy i języki, których nauczył się w mińskim Instytucie Języków Obcych. „Rostek, masz talent do języków, ucz się. Kto wie, jaki ci los przypadnie w udziale” — mawiała babcia. W jego wiosce na północnej granicy Białorusi mieszkali i Polacy, i Białorusini, i Litwini. W domu mówiono w przedziwnym polskim narzeczu. Na ulicy z dziećmi sąsiadów rozmawiał po białorusku i po litewsku. W szkole uczono po rosyjsku. Za namową babci, która dała mu podstawy francuskiego, rozpoczął studia lingwistyczne w Mińsku. Francuski i niemiecki. Niemiecki był nie tyle wyborem, ile daniną złożoną pamięci dziadka, który mimo czterech lat spędzonych w obozie niemieckim nigdy nie wyrzekł się miłości do mowy Schillera i Heinego. Później doszedł norweski. Całkowitym przypadkiem. Córka prorektora instytutu, biegle władająca tym językiem, rozwiodła się ze swoim mężem, sowieckim dyplomatą pracującym przez długie lata w Oslo, i wróciła z Moskwy do Mińska. Tata załatwił jej utworzenie zakładu języka norweskiego. Potrzebni byli tylko studenci. Jako prymusowi, Rostkowi zaproponowano wejście w skład pierwszej grupy. Sam chciał wprawdzie uczyć się arabskiego jako trzeciego języka, tym bardziej

że przeżywał wówczas swoją pierwszą miłość, do Nabili, filigranowej Marokanki, która przyjechała do Mińska studiować medycynę, ale nie mógł przecież odrzucić propozycji samego prorektora... Gdy w połowie lat dziewięćdziesiątych z inwestycjami do Polski wszedł wielki szwajcarski koncern farmaceutyczny, języki francuski i niemiecki okazały się bardzo pomocne w uzyskaniu pracy tłumacza. Znajomość norweskiego była jak kwiatek u kożucha — zwracała uwagę, ale była kompletnie bezużyteczna.

Tylko jak długo można pozostawać jednoosobową firmą, której być albo nie być uzależnione jest od humorów potencjalnych zleceniodawców? Owszem, Szwajcarzy płacili nieźle, a że miał też sporo innych zleceń, w ciągu dziesięciu lat spłacił kredyt na mieszkanie. Niestety, podejmowane od czasu do czasu próby znalezienia innej pracy, bardziej — jak mu się wydawało — ambitnej, spełzały na niczym. A marzenia o własnym domu, ukrytym gdzieś wśród lasów i jezior, które by przypominały jego rodzinną wieś, zostały schowane głęboko w myślach, dokąd nie sięga się nawet w obecności przyjaciół. Podejrzewał, że odrzucenie aplikacji złożonych do kilku urzędów państwowych było konsekwencją jego własnej prawdomówności lub naiwności. W trakcie przesłuchania w Urzędzie do spraw Cudzoziemców, co było normalną procedurą podczas ubiegania się o status uchodźcy, jego rozmówca (później domyślił się, że był to kadrowy oficer Urzędu Ochrony Państwa) zapytał:

— W Mińsku mieściła się słynna szkoła KGB. Czy były jakieś kontakty między pana uczelnią a tą szkołą?

— Tak, dość regularne. Niektórzy profesorowie z naszej uczelni uczyli też języków w szkole KGB.

Życzliwie uśmiechający się blondynek był trochę znudzony i wyraźnie traktował rozmowę kwalifikacyjną jako jeden z rutynowych, niemiłych obowiązków. Zapytał o nazwiska tych profesorów, uśmiechnął się i rzucił dodatkowe pytanie:

— A czy proponowano może panu lub któremuś z pana kolegów pracę wykładowcy w szkole KGB? Pan przecież ukończył instytut jako jeden z prymusów.

— Nie, pracy mi nie proponowano. Natomiast wraz z kilkoma kolegami uczestniczyliśmy we wspólnych z gebesznikami seminariach językowych.

— Na czym polegały te wspólne seminaria? — Blondynek nawet nie ukrywał ziewnięcia.

— Ćwiczyliśmy nowe metodyki uczenia się i nauczania języków obcych. Przykładowo w moim przypadku słuchaliśmy w lingafonie, to jest w sali audiowizualnej, taśm, na których były nagrane jednocześnie dwie lub trzy rozmowy w różnych językach. I mieliśmy za zadanie zanotować jak najwięcej z tego, co zrozumieliśmy. Albo rozmowy nagrane tak cicho, że ledwie było słychać pojedyncze słowa. Czasami nawet myślałem, że tym sposobem robimy za darmo ich robotę: tłumaczymy różne podsłuchy albo coś podobnego.

Rościśław pamiętał dobrze te zajęcia. W niewielkiej, dusznej salce godzinami starał się zapamiętywać nowe konstrukcje, wyłapywać ze szmerów różnych głosów właściwy wątek. Niekiedy było to tak męczące, że — wstyd przyznać — zasypiał.

Przesłuchujący wydawał się nie zwracać szczególnej uwagi na te wypowiedzi. Po kilku tygodniach jednak zaproszono Rostka, ale już do innego pokoju, i tam znów pytano o wspólne zajęcia językowe: czy zna nazwiska studentów uczestniczących w tych zajęciach, jacy wykładowcy je prowadzili, czy rozpoznalby twarze oficerów KGB. Odpowiadał na pytania możliwie dokładnie i obszernie. Nie miał przecież nic do ukrycia. Dzisiaj wie, że wówczas popełnił błąd. O tę prawdomówność, graniczącą z naiwnością, zawsze miała do niego pretensje Anna. „Dupa wołowa z ciebie! Jak możesz tak dać się robić na szaro?” — krzyczała z irytacją, gdy kolejny raz okazywało się, że nowo poznani rzekomi przyjaciele

nie tylko w niczym nie pomogli, ale jeszcze się zmyli, zapomniawszy oddać pożyczone pieniądze. Na początku małżeństwa, kiedy Anna jeszcze nie podnosiła na niego głosu, starała się mu tłumaczyć, jak należy żyć w Polsce. Była przy tym autentycznie zatroskana i brutalnie szczerą. „Rostek, największym twoim wrogiem jesteś ty sam. Musisz być bardziej zdecydowany, twardy. Musisz odnaleźć siebie”.

Tak, trzeba było po prostu przemilczeć ten incydent z dwuletnimi specjalistycznymi zajęciami językowymi i miałby święty spokój. Polacy wyraźnie cierpieli na intelektualne ADHD w związku ze wszystkim, co mogło w jakikolwiek sposób łączyć się z KGB, ZSRR i Rosją. Nic dziwnego — z rozdmuchiwania tych lęków utrzymywała się całkiem spora grupa ekspertów i dziennikarzy, były one też niezawodnym motorem napędzającym akcje polityczne. Jeśli Polacy w amoku politycznych batalii potrafili utopić swego premiera, oskarżywszy go o pracę na rzecz Moskwy, to cóż dopiero mówić o nim, przybłędzie z Białorusi. To tylko w debatach telewizyjnych wszyscy deklarowali pomoc dla imigrantów ze Wschodu. Realia były zgoła inne.

Przynajmniej obywatelstwo polskie otrzymał bardzo szybko i bez jakichkolwiek dalszych przesłuchań czy ceremoniałów. Niemniej w papierach został chyba jakiś ślad, gdyż wszelkie próby zrobienia kariery w instytucjach państwowych były ucinane na samym początku. Nie udało mu się nawet na stałe zacząć w telewizji. Chociaż wyjeżdżał kilka razy z ekipami telewizji prywatnych, a nawet państwowej, aby robić reportaże z Czeczenii, Tadżykistanu, Rosji, Karabachu, Algierii... Podczas drugiej wojny czeczeńskiej pracował dla niemieckiej ZDF. Liczył na jakąś trwałszą formę współpracy z Niemcami, lecz nic z tego nie wyszło. Christer, Norweg, operator z ekipy, a jednocześnie współproducent, bardzo go do tego zachęcał i przekonywał. Tym razem, podejrzewał

Rostek, przesądziło jego polskie pochodzenie czy, dokładniej, zbyt polskie nazwisko.

— Ros... Rosz... Roszcza... — starał się odczytać je rozmówca w berlińskim biurze.

— Rościśław Grzybowski — przedstawił się Rostek powoli, starannie wymawiając każdą sylabę.

Tę hiperpoprawną wymowę Niemiec uznał chyba za formę naigrywania się z niego, bo zrobił obrażoną minę.

— No, z takim nazwiskiem to pan kariery na świecie nie robi.

Nawet nie miał do niego pretensji. Ani o brak angażu, ani o ten przytyk. W instytucie nazwisko też było obciążeniem. Wprawdzie w białoruskich dokumentach figurował jako Rostisław Hribouski, ale ułatwiało to tylko wymowę wykładowcom, w żadnym wypadku natomiast nie pomagało nosicielowi rodowego miana. Polacy, chociaż stanowili prawie dziesięć procent ludności Białorusi i żyli na tej ziemi od stuleci, zawsze byli traktowani jako element obcy, potencjalnie groźny. Jego wuj ze strony matki, ale też Grzybowski — bo w ich rejonie całe rodziny Grzybowskich gromadami, niczym grzyby w lesie, rozsiadły się po okolicznych wioskach — zmienił nazwisko na Grib, wymawiane z białoruska Hrib. I dopiero wtedy poszedł w górę, aż na same szczyty władzy. Rościśławowi brakowało może przebojowości, może tego szczególnego cwaniactwa, którym co krok zaskakiwali go rodacy w historycznej ojczyźnie.

W ostatecznym rozwiązaniu problemu niewymawialnego poza Polską imienia i nazwiska bardzo pomogło mu to, że pracując w sądach jako tłumacz przysięgły — a miał, poza niemieckim i francuskim, także uprawnienia z białoruskiego i rosyjskiego — zawarł bliższą znajomość z kilkoma prawnikami, sędziami i adwokatami, a z jednym z nich prawdziwie się zaprzyjaźnił. „Prawo — mawiał Jacek z wiedzą i elastycznością adwokata, który miał za sobą dziesiątki i setki wygranych potyczek sądowych — to nie dekalog, a ty nie zeznajesz przed Bogiem”.

Więc Rościśław pierwszy raz w życiu świadomie, z premedytacją skłamał. Tym razem nie zawahał się ani na moment, składając zupełnie zmyślane oświadczenie o tym, jak jego działalność na rzecz białoruskiej opozycji naraża bezpieczeństwo rodziny pozostałej w starym kraju, jak siepacze Łukaszenki dybią na jego żywot. Koledzy z Białorusi spreparowali nawet na opozycyjnych stronach internetowych stosowne publikacje potwierdzające jego wersję. Własna wirtualna biografia bojownika walczącego z reżimem wydała mu się cokolwiek przesadna i zbyt heroiczna, miał też obawy o ewentualne następstwa takiego koloryzowania życiorysu.

— A co będzie, jak się wyda? W ogóle wyrzucą mnie z Polski — nie krył obaw w rozmowie z Kolą.

Kola, czyli Mikołaj z Lidy, który był prawdziwym opozycjonistą, to znaczy naprawdę wydał kilka numerów niezależnego magazynu internetowego, uspokajał go:

— Czym się przejmujesz? Mamy to już obcykane, robiliśmy to przecież nie raz i nie dwa. Nawet z syna Łukaszenki możemy zrobić opozycjonistę. To tylko kwestia pieniędzy. Od ciebie jednak nie weźmiemy ani centa.

„Zaczynam nowe życie” — myślał, przekładając w rękach mały kartonik karty identyfikacyjnej. Dowód osobisty obywatela Rzeczypospolitej Polskiej. Ron Harib. Brzmiało dobrze, bo krótko i cokolwiek obco. Większość Polaków chyba nosiła głęboko ukryte kompleksy, bo w ich przekonaniu ktoś, kto nazywał się Timothy Smith, wydawał się jednak mądrzejszy i lepszy niż Mateusz Kowal. Oczywiście, zmieniając i skracając nazwisko, myślał przede wszystkim o potencjalnych pracodawcach z zachodu Europy. Łatwiej było jednak nakreślić plany i rozesłać wszystkim znajomym nęcąco wyglądające projekty, niż je urzeczywistnić. Na rynek wchodziły nowe pokolenia tłumaczy, ceny usług spadały, a rutyna wklepywania powtarzalnych danych w te same tabelki bardzo go nużyła.

Jak to się często zdarza, oferta zmiany na lepsze przyszła do niego wtedy, gdy się jej zupełnie nie spodziewał. Christera spotkał przypadkowo w warszawskim hotelu Hyatt. Ron — już się zdążył przyzwycząić do nowego imienia, zrosnąć z nim — jadł tam obiad z delegacją z Nestlé, która finalizowała w Polsce zakup kolejnej firmy. Christer, wciąż z kamerą, przyleciał z ekipą, tym razem telewizji norweskiej, zrobić wywiady z polskimi noblistami.

— Jak leci? — zapytał Norweg w przelocie w szatni.

— Jeśli pytasz szczerze, to nieszczególnie. Chociaż wiem, że powinienem odpowiedzieć, że fantastycznie... — odpowiedział Ron z odcieniem goryczy.

Umówili się na wieczorne piwo. Norweg z zapalem opowiadał o swoim nowym projekcie algierskim:

— Algieria. Ropa. Islamiści. Europa. Szansa czy zagrożenie? Arabowie i Berberowie. Temat robimy dla norweskiej telewizji. Ale jeśli wyjdzie dobry materiał, kupią go wielkie stacje. Pojedziesz?

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł? Żaden ze mnie specjalista od Magrebu. Możesz znaleźć kogoś, kto zna się na tym lepiej — oponował lekko. W głębi duszy już się do tego zapalał, równocześnie próbując powściągnąć emocje. Strach przed fiaskiem był w nim jednak zbyt głęboki...

— Po pierwsze, znam cię, trochę razem przeszliśmy, więc wiem, co potrafisz. Po drugie, znasz języki i teren. Edgar, z którym robiłeś materiał w Algierii, też bardzo cię chwalił. I wreszcie, potrafisz, jeśli trzeba, pracować także z kamerą. Ponadto, nie ukrywam, budżet projektu nie jest oszałamiający i, szczerze mówiąc, nie sędzę, abym znalazł w Norwegii kogoś równie dobrego za takie pieniądze. Zwłaszcza że to wyjazd tuż przed świętami Bożego Narodzenia. No jak, wchodzisz?

Christer był na tyle delikatny, że najmniejszym gestem ani półsłówkiem nie dał Ronowi podstaw do podejrzeń, że za ofertą

stała zwykła dziennikarska solidarność i chęć pomocy koledze w tarapatkach.

Umówili się, że Christer, u siebie postać znana i wpływowa jako zwycięzca World Press Foto, przekona szefostwo telewizji do kandydatury Rona.

Norwegowie, których bogactwo brało się nie tylko z ropy, ale też z pracowitości i wzorowej organizacji pracy, nie zwykli kupować kota w worku. Rekomendacje Christera i telewizji ZDF okazały się niewystarczające i Ron musiał przejść swoisty casting. Oczywiście Skandynawowie pozostali sobą, nie zaproponowali przejażdżki do Oslo. Wystarczyła rozmowa na Skypie. Ron zaimprovizował studio w swoim mieszkaniu, sam usiadł na tle biblioteczki ze słownikami i książkami (kilka z nich, w języku arabskim, ze złożonymi napisami na grzbietach, pożyczył od znajomego), na biurku rozmyślnie położył mapkę Algieru, książkę o Abdelkabi-rze, rekorder... Robiło wrażenie. Rozmówca, który przedstawił się jako Hasmusen, wiceprezes Norsk Rikskringkasting (taką oficjalną nazwę nosiła norweska telewizja NRK) do spraw programowych, nie ukrywał swojego pozytywnego zaskoczenia biegłością Rona w języku norweskim.

— Sądząc po pana wymowie i imieniu, mogę się domyślać, że miał pan norweskich przodków — powiedział.

Ron uznał, że była to próba komplementu, a nie pytanie, które wymagałoby odpowiedzi.

— Christer mówił mi, że pracował pan w Algierii i jest pan znawcą Północnej Afryki. Że zna pan świetnie język arabski.

To już było pytanie.

— Nie powiedziałbym, że to świetna znajomość. Porozumiavam się — zęgał.

Zauważył, że im więcej ma lat i im dłużej przebywa w Polsce, tym łatwiej i pewniej kłamać. Nie mógł przecież przyznać, że zna w języku arabskim kilkanaście, góra kilkadziesiąt najprostszych

zdań, których nauczyła go Nabila. A wyprawa do Algierii miała na celu nagranie kolejnego odcinka programu kulinarnego dla telewizji komercyjnej i ograniczyła się do przechadzki po *suku*, czyli miejscowym bazarze, oraz kilku godzin kręcenia ujęć plaż i hoteli.

— Ponadto — kontynuował, gładko odchodząc od niezręcznego tematu swoich arabistycznych kompetencji — język literacki, fuscha, może okazać się mało przydatny w Algierii, gdzie rozmawia się w dardża, miejscowym, dość trudnym dialekcie magrebskim. Ten znam znacznie gorzej.

Hasmusen utwierdził się w wysokiej ocenie Rona. Kompetentny, a do tego skromny, mógł przecież twierdzić, że mówi po arabsku lepiej niż Lawrence. Ponadto było coś urzekającego, budzącego zaufanie w jego smagłej, prawie młodzieńczej twarzy, silnie kontrastującej z zupełnie siwymi włosami.

— Jeśli nie zażąda pan honorarium Oprah Winfrey, to sądzę, że osiągniemy porozumienie.

Ron zaciągnął się głęboko. „Kiedy wreszcie dorośniesz?!” — słyszał w głowie podniesiony głos Anny. Tak reagowała na każdy jego wyjazd, który nie przynosił ani pieniędzy, ani sławy, jaką można by było spieniężyć lub przynajmniej wykorzystać dla dobra kariery żony. Z wizerunkowego punktu widzenia wyjazdu Rona nie opłacały się wcale, bo to nie on, a koledzy z grup, którym przekazywał podstawową wiedzę dotyczącą danego kraju czy konfliktu, po powrocie występowali jako eksperci, pisali książki.

Tak, to była awanturnicza i nieodpowiedzialna decyzja: podjąć się zadania, do którego nie jest się przygotowanym. Pół biedy, gdyby skutki takiego postępowania dotknęły tylko jego samego, ale w tym wypadku telewizję narażał na straty, a kolegów z ekipy na niebezpieczeństwo. Algieria, w której od dwóch dziesięcioleci armia i islamисти polowali na siebie nawzajem, nie była najbezpieczniejszym plenerem zdjęciowym.

Chociaż... Przypomniat sobie jedną z ekip telewizji amerykańskiej, która przyjechała filmować wojnę w Czeczenii. W kamizelkach kuloodpornych i hełmach, ale w sportowych butach, trochę mało przydatnych w gliniastym, górskim terenie. Ze znajomością rosyjskiego ograniczającą się do słów *spasiba*, *khorosho*, *my drousy* i podobnie głęboką wiedzą na temat realiów miejsca i czasu, w których się znaleźli. I nic — przeżyli, zrobili materiał, jeden z nich podobno otrzymał nawet jakąś ważną nagrodę dziennikarską.

Uspokajał się. Jakoś to będzie. Szkoda tylko, że Christer nie może pojechać. Taki pech — złamać nogę na tydzień przed wylotem. Nowy operator, Mathias, nie miał szans na otrzymanie wizy do Libii szybciej niż za miesiąc, dwa, a planowali zrobić materiał nie tylko o Algierii, ale o wszystkich krajach Magrebu.

Dochodziła piąta rano. Szarzało. „Może jeszcze zdrzemnę się trochę przed wyjazdem na lotnisko” — pomyślał i wrócił do wystygłego już łóżka.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**

Harib nie jest zwykłą powieścią szpiegowską. To ubrane w dynamiczną akcję, z pieczołowitą dbałością o szczegóły, studium rewolucji w Afryce Północnej oraz świata wielkiej polityki i finansów zawiera wiele kluczy, tematycznych i literackich, których odszukiwanie sprawi przyjemność inteligentnemu i wrażliwemu czytelnikowi.

Vincent V. Severski,
pisarz, były oficer polskiego wywiadu

Rok 2011. W krajach Afryki Północnej wybuchają rewolucje. Przywódca Libii Muammar Kaddafi zostaje zamordowany. W kraju rozpoczyna się wojna domowa o schedę po obalonym dyktatorze.

Polski korespondent Ron Harib, przebywający w tym czasie w Libii wraz z norweską ekipą telewizyjną, trafia w sam środek rewolucyjnych zamieszek. Seria dziwnych wypadków stawia na drodze Hariba najpierw rosyjskich agentów, a następnie naród Tuaregów, który wiernie służył Kaddafiemu. W obozie Tuaregów Ron trafia na trop wywiezionych przez Kaddafiego z Libii pieniędzy i materiałów kompromitujących polityków z Europy i USA. Skarbów i dokumentów poszukują tajne służby Francji, USA, Rosji i... Polski. Tylko dotarcie do złota Kaddafiego przed wywiadami wielkich mocarstw może ocalić życie dziennikarza.

W poszukiwaniach pomaga Ronowi Tazerwalt, dziewczyna z tuareckiego plemienia Kel Adżdżar, która ma do wykonania tajną misję w Europie. Przeszłość Hariba też kryje tajemnicę nieznaną nawet jemu samemu...

Patroni medialni:

{ opętani
czytaniem }

LUBIE
CZYTAĆ

HISTORIA
.ORG.PL

21.
WIEK

 **editio**black

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:

- <http://editio.pl/promocje>
- Książki najchętniej czytane:
- <http://editio.pl/bestsellery>
- Zamów informacje o nowościach:
- <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:

ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-3995-8



Cena 44,90 zł